Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fragment powieści *Mur*

Kiedy na Skwerze Generała Duckforda wycięto drzewa – zdrowe, stuletnie klony, w których ojciec, najzupełniej błędnie, jak się miało okazać, postrzegał gwaranta trwałości – zaczął tę część miasta omijać. Płachetek zieleni, na którym noga generała nigdy nie postała, był ostatnim bastionem starej części miasta, tej zdominowanej przez historyczne Plaza z zabytkowymi budowlami, zaopatrzonymi w tablice informujące, kto gdzie żył i gdzie komu przyszło umrzeć. Przeszłość sprowadzona do kołysek i nagrobków, z przewagą tych ostatnich.

W żadnym razie nie był przeciwnikiem postępu. Nie w sentymentalny sposób, który każe lamentować nad każdym wyciętym drzewem i opłakiwać ofiary Rewolucji. Ale tuż za skwerem zaczynało się nowoczesne Centrum i wiedział, że po zamianie skweru w wyrąbisko granica Centrum zacznie się niepowstrzymanie przesuwać, aż ostatecznie wchłonie Plazę. Ulicom, których nazwy dawniej pochodziły od roślin, będą teraz patronować banki i sklepy. Jedno po drugim znikały miejsca, z którymi można wiązać wspomnienia. Na ich miejsce wdzierały się wysokościowce. Podobnie nowe idee wypierały stare. Samo w sobie nie musiało to być niczym złym, gdyby na nowych fundamentach można było równie trwale budować.

Przyśnił mu się ojciec. Zmarł w wieku trzydziestu pięciu lat i we śnie byli niemal rówieśnikami. Stali na drodze przecinającej uprawne pola, zupełnie sami, i dreptali w kółko, nie wiedząc, który kierunek obrać. Jeden koniec drogi tonął w gęstej mgle, drugi przesłaniała ściana ognia. Usłyszeli tętent i z mgły wyłonił się koń. Miał na sobie siodło i pełną uprząż, ale był bez jeźdźca. Przegalopował tuż obok i zanim pochłonął go ogień, widzieli nabiegłe krwią oczy i rozdęte chrapy, strzemiona obijały się o spocone, pokryte solą boki, poorane szramami ran niczym literami jakiegoś barbarzyńskiego pisma.

„Nie powinieneś był tego oglądać” – powiedział ojciec.

„Dlaczego?”

„Bo takie zdradliwe obrazy zostają w głowie na zawsze. Nie sposób się od nich uwolnić”.

„Zdradliwe?”

„Drogi kończące się przepaścią. Konie, które zgubiły jeźdźców. Rzeki płynące pod górę. Słońce wschodzące po zachodniej stronie”.

„Ale już się stało. Co teraz?”

„Są dwie możliwości. Wmówić sobie, że słońce od początku świata przemieszcza się z zachodu na wschód”.

„Albo?”

„Sam wiesz. Przecież od dawna nosisz się z tym zamiarem. Może nawet podjąłeś już decyzję. Hej, dokąd? Spali cię na popiół”.

„Zaczęło padać. Deszcz ugasi ogień”.

Tyle pamiętał, kiedy się obudził.

Jeżeli z własnej woli zapuszczał się na ulice nowego Centrum, to wieczorami i w największą ulewę. Chodniki pustoszały, za zasłoną wody ginęły wysokościowce. Wyobrażał sobie, że idzie przez miasto, jakie kiedyś znał. Przed kompleksem gmachów rządowych zwalniał. Nie zatrzymując się, by nie aktywować wszędobylskich kamer i by strażnicy nie nabrali podejrzeń, szedł i patrzył na zamazane deszczem żółte plamy okien w dawnym pałacu Schengbergów. Gdzieś tam w środku toczyło się życie, któremu musiał położyć kres.